



Fotografia wykonana przez Kowalewskiego w 2010 roku w Muzeum Apartheidu w Johannesburgu pokazuje dworzec kolejowy w Pretorii

Gęś na Kapitolu

– Jeśli zaczniesz malować na zamówienie, choćby portrety, to przestajesz być wolnym artystą – mówi Paweł Kowalewski, który wciąż uważa, że sztuką można zmienić świat

TEKST ALEKSANDER HUDZIK

Europeans Only (Tylko dla Europejczyków) – pocztówka z takim hasłem jest przyklejona na drzwiach jednej z pracowni w dawnej fabryce kosmetyków. Jesteśmy na warszawskim Mokotowie, wokół zapach smarów, z popękanego betonu wyrastają kępy trawy. Na kolejnych drzwiach druga pocztówka – przedstawia znak ostrzegawczy „Wrong Way. Go Away” (Zawróć. Zła droga).

Jednak wchodzę do środka. Na podłodze gazety, wysoki stół zastawiony farbami i pędzlami. Na sztaludze stoi świeżo malowany obraz. Błękit-

na woda i gwiazdy. Jakby dzień spotkał się z nocą. W powietrzu jeszcze czuć zapach farby olejnej. Jestem w pracowni artysty, który powtarza: – Wierzę, że sztuką można zmienić świat, nawet jeśli to wiara naiwna.

Ma prawie dwa metry wzrostu, szerokie bary i szacowną siwiznę. Do tego strój człowieka biznesu – eleganckie mokasyny ze złotą klamrą, markowe dzinsy i białą koszulę, na której wyhaftowano inicjały P.M.K. – Paweł Maciej Kowalewski. Robimy żółwika, czyli zderzamy zaciśnięte pięści. Tak się witam z artystą, który jeden ze swoich obrazów zatytułował „Och, ty owłosiona łapko”.

PO PROSTU GRUPPA

KOWALEWSKI, ROCZNIK 1958, na Akademię Sztuk Pięknych w Warszawie trafił w czasach, gdy o wolność w sztuce było wyjątkowo trudno. Cenzura była wszędzie. Gdy w 1983 r. namalował cykl „Psalmy” i powiesił go na wystawie w kościele Najświętszej Marii Panny w Warszawie, ksiądz kazał zdjąć obrazoburcze obrazy. Nie spodobało mu się, że młody malarz cytaty z Pisma Świętego połączył z obrazami nawiązującymi do polityki.

W trudnych czasach pomagała artystyczna solidarność. – Jak malarze są do dupy, to się łączą w grupy – mówi Kowalewski w prezentowanym kilka miesięcy temu filmie o Gruppie, którą zawiązał z Ryszardem Grzybem, Włodzimierzem Pawlakiem, Jarosławem Modzelewskim, Ryszardem Woźniakiem i Markiem Sobczykiem. – Grupa to miał być związek ludzi, którzy są wolni w podobny sposób. To był związek przyjaciół. Pomagaliśmy sobie, zostawaliśmy ojcami chrzestnymi swoich dzieci – opowiada.

Nazwa powstała przypadkiem, podobnie było z tytułem pisma wydawanego przez Grupę. – Wymyślaliśmy i wymyślaliśmy, w końcu powiedziałem „Oj, dobrze już” – i tak zostało – wspomina. Choć wcale nie było dobrze, bo malarze Grupy chcieli komentować to, co dzieło się wokół: malowali czerwone gwiazdy, emblematy znienawidzonego wojska. W 1984 r. Kowalewski prezentuje jeden ze swoich

najważniejszych obrazów „Mon Cheri Bolschevič”. – To obraz o tym, jak komunizm uwodzi – tłumaczy. Usta żołnierza w kasku z czerwoną gwiazdą umalowano szminką, jakby bohater obrazu nie mógł się zdecydować, czy iść do wojska, czy na queerową imprezę.

W 1987 r. wyjeżdżają do Kassel na największy obok Biennale w Wenecji festiwal sztuki w Europie. – Pojechaliśmy tam samochodem wyładowanym wódką i kiełbasą – wspomina malarz. Na miejscu najpierw jedli i pili, a potem ruszyli do malowania. W sali ustawili wielkie płótno, sześć metrów na sześć, zaczęli od malowania gigantycznej waginy. Nawet artyści byli szokowani. – Traktowali nas jak kompletnych dzikusów – śmieje się Kowalewski. Krytycy wkrótce określili ich „nowymi dzikimi”. Tyle że sześciu dzikich malarzy trudno pogodzić. – Po prostu w pewnym momencie przestaliśmy się dogadywać jako artyści – mówi Kowalewski o końcu Gruppy.

– A świat udało się wam zmienić?

– Zmieniliśmy! Komunizm się rozpadł – dodaje z uśmiechem. Oni też się rozpadli.

KROK W BOK

Po 1989 r. KOWALEWSKI ZACZYNA DOSTRZEGAĆ W POLSKIEJ TRANSFORMACJI podobieństwa do lat 90. XIX wieku. – Wtedy ludziom wydawało się, że doczekali końca historii, że już lepiej być nie może, chociaż wcale nie było dobrze – tłumaczy i pokazuje, co wówczas malował. Obrazy z cyklu „Fin de Siecle” to secesyjne kwiaty i esy-floresy połączone z czarno-białymi pasami, jakby ten piękny, kolorowy świat był tylko połówką prawdy. Cykl pokazał w warszawskiej galerii Appendix. Do Polski przyjeżdża wtedy robiący międzynarodową karierę Roman Opałka, na wystawę zabiera Isy Brachota, prowadzącego prestiżową galerię w Brukseli. Już następnego lata, w 1993 r., obrazy Kowalewskiego wiszą na wspólnej wystawie z płótnami legendarnego surrealisty Paula Delvaux.

Pierwszą retrospektywę Grupy w stołecznej Zachęcie zatytułowano „Cóż po artyście w czasie marnym”. Kowalewski uważał, że lepiej nie tworzyć, niż tworzyć

na zamówienie. – Jeśli zaczniesz malować na zamówienie, choćby portrety, to przestajesz być wolnym artystą – mówi i na początku lat 90. już jako uznany artysta robi krok w bok. – Postanowiłem zająć się biznesem związanym z reklamą. Andy Warhol pracował w reklamie, artyści tacy jak Damian Hirst też. Tyle że oni zaczęli od reklamy i szli do sztuki. Ja byłem uznanym artystą, gdy otworzyłem swój biznes – tłumaczy. Nadal prowadzi interesy. Jego biuro od pracowni dzieli pięć minut, ale to inny świat, szklane wieżowce biurowego Mordoru.



„Pogarda dla historii powoduje, że jest w nas coraz większa odwaga do robienia coraz głupszych rzeczy

PAWEŁ KOWALEWSKI

Chociaż na blisko dekadę wycofał się z życia artystycznego, to wciąż tworzył, coraz częściej instalacje i rzeźby. – Jego prace wciąż mają ten sam zadziorny sznyt co przed laty – mówi kurator Jacek Sosnowski. – W 2012 r. w salach warszawskiej galerii Propaganda ustawił „Symulator Totalitaryzmu”. Czarną skrzynię o rozmiarach małego pokoju. Widz mógł do niej wejść, usiąść i zobaczyć zdjęcia z największych hekatomb XX wieku, od getta w Warszawie po obrazy z Srebrenicy i Sudanu. Po nich sekwencja zdjęć, na których ludzie z epoki bawią się, żyją normalnie.

W kącie pracowni stoi posąg przykryty koszulą – rzeźba Dawida, niemal

identyczna z tą wykonaną przez renesansowego mistrza Donatella. Od oryginału różni go drobny szczegół – Kowalewski usunął napletek z posągu żydowskiego chłopca walczącego z Goliatem. – Ta praca jest o tym, że lubimy dobrać sobie z historii to, co nam pasuje, i układamy z tego własną tożsamość – opowiada.

ZNIKAJĄCE OBRAZY

W HISTORII WIDZI KLUCZ DO ZROZUMIENIA TEGO, KIM JESTEŚMY DZISIAJ. – Pogarda dla historii powoduje, że jest w nas coraz większa odwaga do robienia coraz głupszych rzeczy – mówił mi, gdy rozmawialiśmy o jego znikających obrazach. Kilka lat temu namalował cykl poświęcony kobietom podczas II wojny światowej, wśród obrazów znalazł się portret jego matki walczącej w powstaniu warszawskim. Obrazy namalował specjalną farbą, tak by z upływem lat płótyły, zostawiając po sobie tylko szary ślad, abstrakcyjną plamę. – Miałem taką kasandryczną myśl, że gdy pokolenie, które pamięta wojnę, odejdzie, to wszystko zacznie się od początku – mówił mi kilka lat temu.

Dziś nie chce się nazywać Kasandrą. – Jestem raczej jak gęś, która gęga na Kapitolu, ostrzegając przed niebezpieczeństwem, tylko cholera wie, skąd to niebezpieczeństwo płynie i jak się nazywa – wyjaśnia.

– To dlatego na drzwiach przywiesiłeś pocztówkę „Europeans Only”? – pytam – Ta praca powstała podczas jednej z wycieczek do RPA – wspomina. W Muzeum Apartheidu w Johannesburgu zobaczył tabliczkę z napisem „Europeans Only”, która przed laty dzieliła mieszkańców RPA podróżujących koleją. – Takie tabliczki można spotkać już tylko w muzeach, ale pozostał ten sposób myślenia, nie tylko w krajach Afryki – mówi.

„Europeans Only” pod postacią wielkiej podświetlanej fotografii trafiło niedawno na wystawę „Tell me about yesterday tomorrow”, zorganizowaną w Monachium, w budynku, w którym kiedyś powstawała NSDAP. **N**

aleksander.hudzik@newsweek.pl